

GŁOS DWUTYGODNIK N 21

75 GROSZY. LITERACKI

Rok 1.

WARSZAWA, 1 — 15 grudnia

R. 1928

JULJAN PRZYBÓŚ

ZE STANOWISKA ZWROTNICY

Tragedją naszą, poetów Zwrotnicy, jest osamotnienie w konkretyzowaniu zagadnień artystycznych i w odpowiedzialności za każde zdanie. Omuleni rozlewnym gadulstwem, pomniejszeni miarą przymierzaną do innych — nie doczekaliśmy się sprawiedliwego mierniczego naszej ideologii. Domagamy się precyzji, wzroku przenikliwego, inteligencji syntetyzującej, a wkoło majączy mglistość, pomieszanie zagadnień i ta publicystyczna kołowaczyna ogólnikowości, która rości sobie pretensję do „myślicieli”. To już nie jest sprawa „Zwrotnicy” i „Nowych Ust” — to walka o etykę myślenia, to proces o oryginalność kultury w Polsce.

Od samych początków idee „Zwrotnicy” musiały się ścierać z bezprzekonaniem pozerstwem futurystów, zagłuszających każdą trafną myśl hałasem doraźnego efekciarstwa i krótkowzrocznej przesady. Futuryści nie spełnili w naszej krytyce roli wentylatora zatęchłej przeszłości. Zablągowane wielomówstwo „Młodej Polski” pomnożyli o nonszalancję, o owo „wszystkojedniństwo” paradoksu dla paradoksu. Stara młodopolska frazeologia, nieposkromiona rewolucją futurystyczną, przetrwała zamęt „jednodniówek” i trysnęła nową metafizyczno-kosmiczną „folgą” t. zw. „myśliciel”. Dziś doszło w naszej krytyce do tego, że nie siła i jasność argumentów, ale dłużyzna gawęd „o poezji” stanowi w oczach niektórych o znaczeniu krytyka.

Kawalarstwo teoretyki futurystycznej nadwęgryło w Polsce wiarę w odpowiedzialność za przekonania artystyczne, a zapieniona deklamacja „kosmiczna” pogłębiła tę wiarę do reszty. Jakże wierzyć teoretykom poezji, gdy ci, zamiast o nową metodzie twórczości, mówią np. o tem, że w płytkim jest głębia; jak uznawać oceny krytyczne tych, którzy zaklinają się np. na „wierność wobec przymusu poetyckiego”, lub na t. p. niesprawdzone archaizmy!...

W atmosferze takiej wiatrologii lada fałszywa pogłoska, pierwsza lepsza plotka zwiewa bez śladu idee, które znaczą, idee, za którymi stoi stanowczość i przekonanie. Idee „Zwrotnicy” sfaloszowano w potocznej opinii, obniżono, i pomieszano z panującą bezideowością „Wiadomości Literackich”.

Panującej bezmyślności wygodniej było odmawiać pracy „Zwrotnicy” własnej myśli; wrogi nam epigonizm wmawiał bezkrytycznym, że program „Zwrotnicy”, to ślepe naśladowanie futurizmu, czy surrealizmu. Pokątne pohukiwania: „Futuryzm — Futuryzm!” były zręcznym tłumikiem naszych haseł, one to sprawiły, że idee „Zwrotnicy” nie dotarły do sumienia artystycznego najmłodszych.

Brak szacunku dla idei wywodzi się u nas z nałogowości epigonizmu artystycznego, z owego odwiecznego „przeszczepiania” na rodzime drzewo obcych samorodnych pędów. Zatrata sumienia kulturalnego stępiła w naszej krytyce wrażliwość na to, co jest wytworem myśli krajowej, a co „przeszczepionem”, czyli powtórzonem za zagranicą. Drobnym, ale znamionym objawem tego zaniku woli kulturalnej są płytkie wycieczki przeciw tak uszczypliwie zwanej „wptywologii”. Po wszechną jest niewiara w potencję twórczą, defetyzm kulturalny nie dopuszcza nawet myśli, aby tutaj, w Polsce, mogła zrodzić się nowa idea artystyczna. Krytyka nasza staje bezradna wobec zjawisk, których cudzoziemskiego rodowodu nie potrafi ustalić; brak jej wtedy ujeżdżonej metody badania, tak jak samej twórczości brak odwagi samodzielności. Chcąc zamaskować swój niedorost kulturalny, krytyka imputuje wtedy oryginalnym ideom artystycznym hipotetyczne wpływy, lub wręcz bezwstydnym narzeka na „niezrozumiałość”. Taki los dotknął również „Zwrotnicę”. Z lubością natomiast przyjmuje się to, co

ANALIZA i INTUICJA W METAFIZYCE BERGSONA

Tegoroczna nagroda literacka Nobla przypadała w udziale znakomitemu filozofowi francuskiemu, Henrykowi Bergsonowi, który wywarł doniosły wpływ na całą współczesną umysłowość europejską i którego dzieła uważane są za punkt zwrotny na drogach myśli filozoficznej. W artykule niniejszym poruszamy jedną z najistotniejszych i zasadniczych kwestyj w filozofii Bergsona.

Bergson rozróżnia dwa źródła i dwie metody poznania. Inteligencja, rozum jest w jego rozumieniu wrodzoną znajomością stosunków dla celów faktycznych, instynkt zaś jest wrodzoną znajomością rzeczy. Pierwszy rozwijał refleksyjną, drugi intuicyjną metodę poznania.

Myśleć to znaczy: od kombinacji gotowych pojęć dojść do rzeczywistości. Poznanie rzeczywistości metodą refleksyjną przy pomocy pojęciowej analizy ma wartość jedynie względną. Analizować bowiem dany przedmiot znaczy sprowadzić go do elementów znanych nam poprzednio z innych przedmiotów, a więc wyrazić coś przez coś innego. Z elementów tych nie można jednak złożyć całości przedmiotu, gdyż cechy rzeczy nie stanowią jej składników, podobnie jak np. litery nie wyczerpują istoty części składowych wiersza. Pojęcia, idee abstrakcyjne, bezosobowe, ogólne wyrażają przez porównanie cech wspólnych tylko pewne podobieństwo danego przedmiotu do innych; wychodzą one niejako poza sam przedmiot umożliwiając badanie jego z rozmaitych punktów patrzenia przez wysuwanie coraz to innych cech na pierwsze miejsce. W ten sposób jest myślenie badaniem użyteczności przedmiotu, orientacją dla celów praktycznych. Lecz analizą naukową choćby w nieskończoność prowadzoną nie dojdzie się nigdy do poznania samego przedmiotu, tylko do jego symbolu.

Obrazowe ujęcie przedmiotu jest wierniejsze od refleksyjnego, lecz również nie prowadzi do absolutnego poznania. Np. „trwanie” wychodzi zarówno poza pojęcie, jak i poza obrazowe przedstawienie. Ani pojęcie jedności, ani pojęcie mnogości, ani też ich synteza nie oddaje tego, co przez wewnętrzne wczucie się, przez „trwanie” rozumiemy. Analiza zastosowana do trwania w czasie dochodzi do elementów martwych, z których nie można odtworzyć nieustannego stawania się. Czas abstrakcyjny bowiem jest nieruchomy, dla nas zaś trwanie jest wielością jakościową czystą, w łonie której niema wyosobnionych jakości, a którą poznajemy drogą intuicji.

Intuicja jest dla Bergsona tem, czem była dla Descartesa „myśl”, t. j. bezpośrednią refleksją naszego bytu. Poznanie intuicyjne jest procesem prostym, jednolitym i nie da się nigdy ująć w pojęcia. Przez intuicję poznajemy bezpośrednio na-

„proste”, „bezpośrednie”, „szczerze”, „rozumiały”, łatwe, czyli epigońskie. Taki stosunek do poezji, „rozumiały” jest u bezkrytycznej publiczności, ale w krytyce, która ma uprawniać w smaku ogółu nowe zdobycze artystyczne? Doprawdy, ręce opadają, gdy się słyszy niektórych poetów, wygłaszających opinie godne pensjonarki... Jaka przepaścista różnica w pojmowaniu poezji oddala nas, poetów „Zwrotnicy”, od tych, którzy dzisiaj jeszcze, prawdopodobnie szczerze, nazywają taką np. katarzynkową tromtadaryjkę, jak „Dwa wiatry” — „cudownym tworem poetyckim”; albo od tych, którzy w szarej ramocie, niezorganizowanem poetycko opowiadaniu, zatytułowanej: „Pieśń o suterynie” — dopatrują się uspołecznionej poezji! Jaka otchłań dzieli nas od tego, co niektórzy uważają za „współczesną” poezję polską! Ogarnia mnie troska i lęk o los najmłodszej poezji, i nakazuje mi bezwzględna szczerść i odwagę sądu.

Poezja uspołeczniona? Idea społeczna w poe-

zje „ja” trwające w czasie, a poznajemy je absolutnie osobiście. Metodą tą posługuje się metafizyka, której zadaniem jest stworzyć percepcyjną „nie syboliczną” ciągłość między intuicjami.

Intuicja, która rozwinęła się z instynktu bliższa jest wrażeniom i spostrzeżeniom, niż myśleniu. Odnosi się ona bezpośrednio do życia, nie ma jednak praktycznego zabarwienia w rodzaju „sens commun”. Jest ona najczystsze doświadczeniem przechodzącą drogą naturalną i możliwą od rzeczy konkretnych, indywidualnych do pojęć ogólnych; od analizy natomiast nie można dojść do intuicji. Np. przez poznanie zjawisk i praw psychologicznych nie dochodzi się do poznania „ja”, podobnie jak przez analizę ruchu w przestrzeni nigdy nie poznamy samego ruchu. Analiza ruchu prowadzi do pojęcia nieskończonej ilości punktów położenia w przestrzeni, lecz suma ich nie tworzy istoty ruchu. Natomiast intuicja przez zwałnianie ruchu dochodzimy do pojęcia nieruchomości, spoczynku. W filozofii Bergsona posiada ruch charakter wybitnie niepojęciowy, niedyskursywny.

Podczas gdy analiza pracuje w sferze zmienności, intuicja odtwarza rzeczywistość żywą, konkretną, zmienną. Myślenie czyli poznanie dyskursywne jest sprzeczne z naturą rzeczy. Rozum bowiem, którego zadaniem jest operowanie elementami stałymi szuka tej dogodnej dla celów praktycznych sztucznej stałości w rzeczach i stosunkach. Przeciwną drogę musi odbyć intuicja. Podobnie jak życie, pęd, twórczy „élan vital” staje przeciw materji, tak dynamiczny, gwałtowny charakter intuicji zmuszają do walki z martwością sztywnych, stałych pojęć w obronie tego, co jest prymitywne, indywidualne, nieskomplikowane, naturalne.

Tę istotną, zasadniczą różnicę między intuicją a analizą przeoczyli zarówno racjoniści, jak i empiryści. Jednak prawdziwy empiryzm dąży do zerwania z szablonem; wychodząc od intuicji stara się on stworzyć dla każdego przedmiotu nowe pojęcie, pojęcie płynne i giętkie. Taki empiryzm jest — zdaniem Bergsona — prawdziwą metafizyką.

Pisma Bergsona drgają przeżyciem i odczuciem. Jego myśli mają w sobie coś nowego, prorocznego, alogicznego. Jego irracjonalna koncepcja metafizycznej intuicji jest dążeniem do poznania niedostępnej dla pojęć prawdy absolutnej. Nie jest to filozofia rzeczy ani pojęć, lecz wroga ścisłej nauce filozofia tętniącego życia, triumfującego nad martwą materją. Twórczość Bergsona jest żywym, wolnym drgnięciem wielkiego ducha dążącego do objęcia nieskończoności naszego bytu, jest zbrataniem filozofii z religią i sztuką. Jako taka wyłamuje się z pod wszelkiej krytyki.

Rena Szmilowicz.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

W NIEDZIELE

JERZEMU JODŁOWSKIEMU.

W zakazanem kinie na krańcach,
był u wejścia tragiczny plakat —
Nad Hinduską, zabita w tańcu,
deszcz od rana do nocy płakał.

W brudnej sieni cukierki liczyła
bufetowa wpatrzona w ciszę.
Martwiła się, myślała, martwiła,
że syn głodny do domu przyszedł.

Wychodzili, wchodzili po schodkach
gazeciarze, włóczęgi, stróże...
Z dziewczyną alfons się spotkał,
kupił bilet do łoża na górce.

Usiedli spoceni, zmachani,
krztusili się zaduchem jak ością.
Łysy taper klawisze zranił,
śpiew schrypnięty ciemność rozciął.

Schorowaną aktorkę żar jadł,
gdy tańczyła w satynowej sukience.
W pierwszym rzędzie pijany warjat
chciał koniecznie całować jej ręce.

Zaprzepaścił się urok niedzieli
w splugawionej, pstrej poczekalni.
Błady chłopak w łeb sobie strzelił
(miał w kieszeni rachunek z pralni).

Tręcali się, popychali lokciami,
pytali obojętnie: kto to?
Wiatr wałęsał się, wyl za oknami,
rozmażywał, rozchlapał błoto.

W zakazanem kinie, na krańcach
był u wejścia tragiczny plakat —
Nad Hinduską, zabita w tańcu,
deszcz od rana do nocy płakał.

IRYON

DO ALEKS. MALISZEWSKIEGO

Zgiełk jak kot zmyka z wagonów i sunie przed
siebie —

Kiedy noc wypływa wieczory na poranne stacje,
I w czarnych plastronach dymy rozlepią po niebie
Jak wielkie, zwycięskie sztandary w słonecznej
poświacie.

Z podróży wieczornym pociągiem wysiadam na
nowym początku;
U bram wielkiego teatru wielkomijskiej
dzielnicy.

Idę i płynę harmidrem po rozbełtanych ulicach
Wyszarpać stalowe godziny z łusek kwitnących
mych rąk.

Nie buchnę po niebie dymem i nie zabije nikogo
skrycie, —

Na płaskim bruku wyciskam przechodnia
z nieznanym stron,
Wyzwiemy zwykłego Boga wielką miłością życia
I pozrywamy druty zemsta przeżartych strun.

W dumnych żenicach wysprzątam nawyk
nieboskiej tęsknoty
Czerwonych, płonących dachów, — w krwi
obryzanych głów...

I po dalekich drogach z serca litery wytoczę:
Ze niema w splakanych piersiach zbyt okupionych
słów...

poezję; że narazie trzeba „mleć na razowiec”,
czyli, jak to bystrzej spostrzegł E. Schürer, zając
się oświatą robotniczą. Ale w takim razie pocóż
mówić o poezji, pocóż przeciw zagadnieniom poe-
tyki wytaczać „szary, brudny asfalt”? Poeci spo-
łeczni muszą stanąć wobec dylematu: albo poezja
albo TUR. Tertium non datur.

LEKARZ — GEORGES DUHAMEL

„Dusza“ i „serce“ należały do wyrazów nadużytych i spopolitowanych przez romantyków i czułościowców ostatniego stulecia.

Są jednak ludzie współcześni, w których ustach i piórze słowa te nabierają zpowrotem całego należnego im blasku i napełniają się potężną treścią.

Do tych nielicznych należy niewątpliwie światny pisarz francuski Georges Duhamel.

U nas, częściowo na skutek niefortunnej wizyty tego literata w Polsce, częściowo dzięki pobieżnym i płytkim informacjom rozmaitej „literackiej“ prasy — uchodzi on za komunistę, bezkrytycznego wielbiciela Sowietów, który za pomocą obłudnego pacyfizmu dąży do osłabienia narodów zachodu, wydania ich na łup Moskwy i krwawej rewolucji społecznej.

Jakże inaczej przedstawia się Duhamel w swoich książkach, które niestety, niedość są znane u nas. Ideologia ich jest wybitnie spirytualistyczna, biegunowo odmienna od materializmu dziejowego komunistów.

Ideologią tą nasiąknięte są jego opowiadania z okresu wojennego np. „Vie des martyrs“, „Civilisation“, zarówno jak i inne dzieła „Entretiens dans le tumulte“, „La lumière“, „Dans l'ombre des statues“, „La pierre d'Horeb“ i t. d. Lecz właściwy wykład światopoglądu Duhamela znajdujemy w książce p. t. „La possession du monde“. Rzecz tę pisał autor w latach 1917—18 w przyfrontowych szpitalach i ambulanśach, gdzie jako zmobilizowany lekarz pracował i cierpiał fizycznie i moralnie od początku wielkiej wojny. To też częściowo utwór ten jest wyrazem buntu przeciw zbrodni i ohydzie wojny. Ale jest tam jednocześnie i coś więcej: bunt przeciw wszelkiemu złu i brudowi świata, gorący protest, przeciw bezdusznej cywilizacji materialistycznej.

Celem i więcej: wyrazem, sprężyną i istotną treścią życia ludzkiego jest według Duhamela **szczęście**. Lecz szczęście to można i należy osiągać tu na ziemi. Duhamel bowiem nie należy do wierzących w życie pozagrobowe, chociaż szanuje wszelkie religie i brak ich uważa za jedną z przyczyn bezduszności następującej epoki. Otóż istotą i podstawą tego szczęścia doczesnego nie jest, według niego dobrobyt materialny i fizyczny, ani używanie życia, ani rozkosz. Szczęściem jest **posiadanie świata**, posiadanie duchowe, osiągalne przez ciągłe z bogactwami swego życia wewnętrznego.

Nie jest jednak Duhamel zwolennikiem jakiegś ascetyzmu, wyrzeczenia się przyjemności fizycznych, bynajmniej: wszak one też służą do powiększenia naszych przeżyć duchowych. Istotą jednak rozkoszy jest jakiś wieczny niedosyt, nieuchwytność, bezzad, gdy tymczasem szczęście nie istnieje bez harmonii i jest zawsze wystarczające. Ma się ono tak do rozkoszy, jak śpiew do okrzyku.

Posiadanie świata — to przedewszystkiem **posiadanie świata zewnętrznego**, natury, gdzie według słów Marka Aureliusza wszystko jest godne zaszczytu, dalek dzieł ręki ludzkiej, dzieł sztuki, za pośrednictwem których człowiek obcuje z ich twórcami. Naturalnie nie chodzi tu o posiadanie materialne, czy z tytułu prawnego, lecz o posiadanie w świadomości przez poznanie, zrozumienie, a nadewszystko odczucie i ukochanie.

Drugą wielką domeną posiadania świata to **posiadanie bliźnich**: poznawanie ich wszystkich, z którymi się spotykamy, zbliżenie choćby na jeden moment do ich duszy i miłowanie. A idąc jeszcze dalej, aby ich lepiej posiadać, trzeba nawzajem oddawać się im dając się poznać, dzieląc się swem bogactwem, wreszcie apostołując wśród nich. W tem dążeniu do posiadania świata zawsze napotyka człowiek cierpienie. I ono zatem staje się chociażby pośrednio źródłem szczęścia niejako okupem za nie. A kiedy mimo wszystko teraźniejszość szczęścia nie daje — niezawodnym schroniskiem duszy ludzkiej są: wspomnienie przeszłości i nadzieja na przyszłość.

Istnieje jednak pewien czynnik, bez którego mimo wszystko nie można być szczęśliwym: jest

to pewien stan łaski, tak dobrze znany w religii chrześcijańskiej. Łaska ta bywa częstokroć dziełem zupełnie niezrozumiałego przypadku; kiedy indziej trzeba jej szukać. Szukać należy we wspomnieniu przeżytych momentów łaski, w samotności, którą można znaleźć nawet w najgwałtowniejszym zbiorowisku ludzkim. Ten stan łaski, to według Duhamela — dla nowoczesnego człowieka — moment uświadomienia i wiary w boskość ludzką.

Współczesna cywilizacja materialna, będąca dziełem intelektu nie dała ludzkości szczęścia. Przeciwnie, ona to pogrążyła ją w potwornościach najstraszniejszych z wojen. Skoro intelekt zawiódł, należy się zwrócić do drugiej sfery życia duchowego — do serca. Aby osiągnąć szczęście, aby pojąć świat, niedość go rozumieć — trzeba go przedewszystkiem kochać. Szczęście ma dać ludzkości królestwo serca.

Tę religię serca bez bóstwa ponad człowiekiem i bez życia pozagrobowego Duhamel propaguje z przejmującą szczerością i żarliwością.

Tą samą żarliwą miłością świata i ludzi napełnione są i jego właściwe utwory beletrystyczne. Nie posiadają one świetnej konstrukcji dzieł Romain-Rollanda. Układ ich jest chaotyczny, znajdujemy często błędy kompozycyjne. Rozpiętość akcji zazwyczaj niewielka, a zarys jej często mętny. Natomiast proza Duhamela, choć pozbawiona specjalnych efektów formalnych, jest szczególnie melodyjna. Muzyczność ta zdaje się być rezultatem szczerości wypowiedzi, zdaje się być odpowiednikiem harmonii wewnętrznej autora. Język Duhamela jest bogaty, jak jego dusza. Lubi on naiwne barbarzyństwo i prowincjonalizm robotników i chłopów. Częstokroć w tekście wytrąśnie niespodzianie porównanie, czy metafora oryginalna, zuchwała napozór, lecz olśniewająca swą trafnością. Opowiadanie jego bez sztucznego patosu i sentymentalizmu wzruszają do głębi.

Specjalnie celuje Duhamel w wyuczaniu postaci i charakterów, które potrafi ująć nieraz w kilku krótkich zdaniach, a zawsze obdarzy je prawdziwym życiem, dając przytem portrety niezmiernie subtelne.

Dla tych, którzy uważają tego człowieka za bezkrytycznego wroga Polski, przytoczę a propos pewien szczegół z „La pierre d'Horeb“.

W grupie studentów medycyny znajduje się wśród przedstawicieli paru innych narodowości (nb. również świetnie scharakteryzowanych) Polak, niejaki Mazurkiewicz, wybitnie zdolny i pracowity, lecz nieco dziwacznej powierzchowności i trzymający się zdaleka od innych. Jest on przedmiotem kpinek ze strony studentów żydów francuskich i rosyjskich, którzy między innymi opowiadają, że w języku polskim nie istnieje odpowiednik czasownika „continuer“. Zaintrygowany bohater powieści, Francuz, naiwnie zapytuje tu o Mazurkiewicza. Polak odpowiada, że za to istnieje w naszym języku wyraz oznaczający trwanie oporne, kamienne, jakiego cudzoziemcy wogóle pojąć nie potrafią.

Czy w tym krótkim fragmencie nie ma świetnej i poehlebanej charakterystyki polskiego studenta-emigranta z czasów niewoli?

A czy wielu inteligentom polskimi wiadomo, jak odmalował przedstawiciela polskiej narodowości, owacyjnie witany w Warszawie, Claude Farrere w swym utworze pod tytułem „L'homme qui assassina“? Jak najgorszą kanallę, gorzej niż alfonsa.

Wracając do Duhamela, trzeba zaznaczyć częstokroć wprowadzanie przezeń do utworów elementu fachowego, lekarskiego. To piętno zasadniczego wykształcenia i fachu sięga jednak głębiej. Ma on bowiem szlachetną ambicję być lekarzem nie tylko ciała, lecz i duszy. Należy zaś do tego rodzaju lekarzy, co rodak jego — Laënnec, wynalazca auskultacji. Ileż serdeczności jest w samym tym ruchu pochylenia ucha do piersi pacjenta. Podobnie Duhamel, aby postawić diagnozę — przemożny impuls każe mu leczyć, leczyć duszę ludzkości chorej na fałszywą cywilizację.

Tadeusz Nałęcz.

AWANTURA — SPORT CZY — BOHATERSTWO

Odkąd sport stał się zjawiskiem, obejmującym coraz szersze warstwy publiczności, odkąd przyznano mu godność reprezentowania težyny narodu i państwa, staje się coraz aktualniejszą sprawą, jaki powinien być stosunek sportu do życia i literatury, do sportu. Gdyby z martwych obudzić któregoś mędrca 18 lub nawet 19 wieku, biegłego we wszystkich zagadnieniach swego czasu i postawiono go wobec fenomenu współczesnego sportu — zdziwiłby się zapewne i zatroskał poważnie, co też dla nas mogło stać się wielkim społecznym zagadnieniem, co mogło wycisnąć tak szerokie piętno na psychice powojennych mas i o co to odbija się beznadziejne protesty wybitnych intelektualistów. Sport był za czasów naszego mędrca rzeczą czysto indywidualną, — kto miał na to dosyć czasu, temperamentu i ochoty

jeździł konno, wiosłował lub pływał: sport nie tracił swych prostych przyrodzonych form nawet wtedy, gdy przemieniał się w gromadną towarzyską zabawę, w wesoły wyścig, w którym nic raz zwalniano biegu, aby towarzysząca mogła tchu zaczerpnąć... Tylko jeden istniał już wówczas związek dzisiejszego sportu, w którym gorączka wygranej, rekordu i szlacheckiej ambicji górowała nad stajenną miłością do konia: to było konne derby, gdzie już wtedy zauważyć się dał dzisiejszy stosunek — klaszczący widz i wynajęty żokier.

Z pojęciem sportu łączy się systematyczne uprawianie zdrowia — a jeśli w naszym własnym wieku doszło hasło sportu do tak wielkiej doniosłości, to przejawia się w tem niewątpliwie dążność naszych czasów do zdrowia, do fizyczne-

go odrodzenia. I tej zasadzie najpowszechniejszej zdrowotności powinnaby była idea sportu pozostać wierna, aby nie zwyrodnąć w monstrualność rekordów. W sportowym współzawodnictwie narodów jeden mógł być tylko walny rekord: — które państwo wykazałoby się najlichnijszym zastępem zdrowej, w zreformowanych szkołach harmonijnie rozwiniętej młodzieży, o normalnej sprawności ciała i umysłu, — to państwo zdobyłoby jedyną nagrodę: nadzieję lepszej ludzkości, choćby żaden z tych chłopców nie skałał o tycze, ani żadna z tych dziewczyn nie przepłynęła kanału La Manche. Państwo, które ma dziesięciu przez cały świat oklaskiwanych rekordzistów sportowych, zaś kilka milionów proletariackich wynędzniałych dzieci, dla których nie się nie robi, jest napewno straconem państwem. Rekord jest pojęciem wrogiem sportowi, rekord wypacza każdy sport, jest jego monstrualną i zatraconą formą — jedynym ideałem sportu jest przeciętne zdrowie jak najszerzych mas i to trzeba by kinem wbić w tępe łyby sportsmanów. — Lecz skądże się wzięło uwielbienie sportu w postaci rekordu?

Rekord w swojej dzisiejszej reinkarnacji jest zjawiskiem wybitnie powojennym i w pustce zahukanego sumienia należy szukać jego źródeł. Sport zdrowotnie pojęty staje się powszednim rytuałem ciała, po za którym pozostaje jeszcze pełne wezbrane życie, dni uniesień i dni kontemplacji. Sport racjonalnie uprawiany nie naraża nas na konflikt z intelektem — lecz dla takiego sportu tłum nie ma zrozumienia; powojenny nerwowy tłum musi się czemś pasjonować — a więc narzuca mu się za pośrednictwem prasy jak maskę chloroformową psychozę rekordu. I tu jak we wielu innych wypadkach znowu zachodzi to samo, że zachowuje się jakąś szlachetną nazwę, a podsuwa się sfalszowaną treść — którą jeszcze dziś odróżni te dwa skrajne pojęcia: sportu i rekordu? Lecz tłum na stadionach wyżywa się w swojej psychozie, obywatelstwo ma bezpieczne i patriotyczne zajęcie, siła przyciągająca boiska stała się większą od siły atrakcyjnej spraw społecznych i tu przebiega się szydłem z worka osiągnięty skutek: dżoon politikon, państwową myślą ożywiony i namiętnością przekonany stał się bezmyślnym gapą na arenach idjotycznych rekordów. Pod kłamliwym hasłem zbratania narodów, w które nikt z nich właściwie nie wierzy, uprawia się pod patronatem „miarodajnych czynników“ niebawym szantaż na zbiorowej duszy społeczeństw.

To, co okazuje się tu odwrotną, społeczną stroną tego rekordowego medalu nie występuje oczywiście w życiu tak jaskrawo i naocześnie — mówi się raczej o odrodzeniu helleńskiego piękna. Przypatrzmy się zatem bliżej współczesnym bałwochwalcom minionej świetności. I tu odkryjemy... tragiczne rozszczępienie: sport, który zasadą a się na pokraczną dwoistość bieglej w regulach gry publiki i właściwych sportowców. To

nie sport w znaczeniu wychowawczo społecznym, lecz sport widowiskowy, to współczesne circenses w asyście bezrobocia. Nasi wyznawcy pogańskich igrzysk to zatłuszczeni artretyczni panowie i histeryczne panienki, to niedomyty subiekty sklepów, co ma jedyną niedzielę wolną i skrofuliczny sztabak lub obrzmiały korporant. Na boiskach dzisiejszych rekordów ani zapaśnik ani widz nie wcielają idei prawdziwego sportu, triumfuje je-no nieśmiertelny snobizm sportowy: taki jest wodny znak naszego wieku sportowego odrodzenia, hańbiący znak Babitta.

Znalazłem się raz przypadkiem u mety pierwszego wyścigu, gdy pierwszy przywiozł się do taśmy, śmiertelnie zdrony, maratoński zwycięzca. Miał oczy od zmęczenia i kurzu bielmem zasłane i już tylko poomacku, jak skwarem i słońcem porażony odmieniec jaskiniowy, zrobił ostatnie trzy kroki. Wahadlowym ruchem ręki przerwał fatalną taśmę, jakby mu ramię zeszytywało w łokciu, poczem głuchy i ciężki poddał się czyjejś opiece. Tuż za nim dobiegał już drugi — lecz nie patrzyłem już na niego: patrzyłem wkołomnie na ludzi klaszczących. Czemu ten konający nie-mał człowiek budzi ich zachwyt i co on im obwieścił chęć, że tak okropnie do nich biegał? Kto go do tego szaleństwa namówił i co on w tem dla siebie upatruje? Wiedziałem, że to się nazywa rekord, ale przysnęło mnie tylko i nie mogłem zrozumieć. Ale byłem wtedy pod świeżem wrażeniem pamiętników Wiery Figner i musiałem pomyśleć, że ta niezłomna staruszka jest także rekordzistką — bohaterką wiary. Któż jeszcze zdobył się na taki wyczyn, jak przebyć pół życia w gronie schlesburgskim i wynieść stamtąd serce nieskruszone i duszę miłąjącą?

Lecz na tem się jeszcze formy współczesnego sportu nie wyczerpują. Pokutuje jeszcze dzisiaj i ma swoich poetów romantyczna forma rekordowego sportu: — awanturnictwo. Jej klasycznym przedstawicielem jest samotny pasażer bezbrzeżny oceanów, wzgardzieli życia i prowokator śmierci, męski i śmiały kapitan Allain Gerbault, w mocnym wierszu Antoniego Słonimskiego nobilitowany raz na bohatera. Lecz dla mnie pozostał on tylko awanturnikiem, — choć w najszlachetniejszym słowa znaczeniu. Allain Gerbault narażał życie dla fantazji, podjął trud ogromny, bo mu w muskulach siła skwierczała. Lecz Prometheus z narażeniem życia wykradł bogom ogień, aby go ludziom ofiarować. Allain Gerbault w swej egotycznej pysze byliby sobie boskim ogniem papierosa zapalił i zgrabnym gestem gasząc ogień, sycałby się przez chwilę nienawistnym sykiem przy zetknięciu dwu wrogich żywiołów.

Poezi są dlatego poetami, bo pragną i szukają w życiu bohaterstwa. Lecz nie znajdują go na szlaku amsterdamskich laurów ani na wzburzonej fali kapryśnych i odludnych mórz.

Emil Schürer.

MATERJA NA EKRRANIE

Nie ulega kwestii, że z punktu widzenia teoretycznych wymogów — omnipotencja aktora — nie wyrzucił krytyki i jest zjawiskiem, powstałym na tle niezrozumienia istoty i właściwości sztuki kinowej. Znaczenie aktorstwa urobiło się i tkwi mocno w tradycjach publiczności, wychowanej od wieków na zasadach teatralnych. Trudno więc pomyśleć, by publiczność mogła na rzecz nowatorskich i eksperymentatorskich koncepcji zrezygnować z sugestyjnej siły i emocji, jakie wnosi aktor we film. Wina poczęści spada także na krytykę kinową, która rzadko kiedy zwraca uwagę na istotne czynniki sztuki kinowej, artykuły zaś, pojawiające się w czasopiśmach — są po większej części poświęcone właśnie gwiazdom ich grze, urodzie i familijnym, matrymonijalnym stosunkom.

Kino — czy to tak trudno zrozumieć jest współczesną muzyką światła, cieni, ruchu — jest rytmem ciągle stawiającej się rzeczywistości w galopie obrazów — jest bezgłośną pieśnią o kinetyce wszechbytu — jest sztuką, powołaną do uaktywnienia i zdynamizowania potencjałów materji, — powołaną do plastycznej i wizualnej interpretacji rzeczy żywych i martwych.

Film zaś — to optyczna konstrukcja pewnej rzeczywistości, widzianej oczyma obiektywu. Film — to ruchowa kompozycja o napięciach kierunkowo-dynamicznych, oparta na swoistej psychologii i logice, nie mających nic wspólnego — z naszą normalną — psychologią. Film — to ruchowa — optyczna relacja między człowiekiem a materją, albo między podmiotem a przedmiotem.

Film w przeciwieństwie do teatru — operować może materją — tworzywem — znajdującym się poza granicą ludzkiej psychiki i naprzekór teorii — kino tkwi i grzebie się w trzewiach ludzkiej duszy, co czyni to już od wieków — z większym powodzeniem — literatura.

Gdy sztuka kinowa otrząśnie się z naleciałości psychologicznych — i zwróci się do złóż fotogenicznych, tkwiących w samej materji, aktor filmowy — stanie się wówczas wcale niepotrzebnym, w najlepszym razie — będzie posiadał stanowisko równoprawnione z materją martwą, którą dotychczas była tylko tłem i dekoracją. Siła wewnętrzna człowieka w filmie prawdziwie kinowym stanowić będzie nie autonomicznym walo-

rem treści i formy filmowej, lecz współrzednym czynnikiem kompozycyjnej całości. Piękno filmu ujawniać się będzie nie w mniej lub więcej pomyslowych intrygach, nie w przeżyciach duchowych i uczuciowych bohaterów, lecz w energetycznym ustosunkowaniu się człowieka do współdziałającej materji, w dynamicznym i plastycznym uaktywnieniu zjawisk, rodzących się z ciągłych spięć, działań i oddziaływań materji na ludzi i vice versa. Stwórzmy dramat kinowy, gdzie bohaterem nie będzie człowiek — lecz powiedzmy — zając, mrówka, krowa i t. d. lub las. Nie chodzi tu o persynifikację natury, by zając lub pies był sentymentem — tak jak np. Rin-tin-Tin — wytresowany wilk, wyrażający uczucia ludzkie, nie gorzej od jednego aktora. Chodzi mi oto, by kino objawiło biologiczną, prymitywną żywiołowość, tkwiącą w zwierzętach — i to właśnie w surowej — pierwotnej formie — a nie w tresowanych szablonach.

Człowiek — w filmach — w których rzeczywistość — jako taką — jest podstawą akcji — zatracą swą samowystarczalną indywidualność i staje się jednym z rydymentów danej rzeczywistości, w sprzęgnięciu w rytmikę zjawisk ruchowo-optycznych. Takie stanowisko zajmują komicy kinowi — jak Chaplin, Kaeton, Loyd — są to aktorzy prawdziwie kinowi, a to właśnie dlatego, że ich artyzm nie ujawnia się w akcentach tych czy innych uczuć, lub przeżyć — lecz przeciwnie, w ich automatyzacji ruchów — w zmechanizowanym stosunku do materji. Uaktywniają swą odrębną i irracjonalną psychologię w ciągłym obcowaniu z rzeczami martwymi lub żywymi. Materją — jako taką — zajmuje w filmach tych komików miejsce równoprawnione, a czasem nawet posiada znaczenie decydujące.

Ustalamy: aktor — w rękach reżysera — jest takim samym materiałem — tworzywem, jak sama materja wogóle. Aktor może być zapewne niepotrzebnym w filmach abstrakcyjnych. W filmach zaś irracjonalistycznych (np. filmy komiczne i groteski) — jest powołany do współdziałania i do uaktywnienia w sposób ruchowo-mechaniczny stosunku do otaczającego go świata, który jest nie dekoracyjnym tłem dla czynów aktora — ale funkcjonalnym i aktywnym czynnikiem filmu.

Marjan Gwiazdowski.

STANISŁAW WYGODZKI

ŚMIERĆ ONKI

Czuję jak jeszcze two usta dyszą krzykiem i ciepłem.
Wiem, że jesteś samotna o świecie w południe i w nocy.
I coś że krzyczysz alarmem rany two niezakręple
a głośniejszy i coraz boleśniej syn twój wzywa pomocy.

I coś, że w bólu i skardze nikt cię już nie utuli.
Teraz minęła już północ. Nadchodzi ponury październik.
Ja wiem, że wskroś twojej piersi i krwią poplamionej
koszuli
przeżył się dnie i noce jak twarde i ostre ciernie.

I coś, że krzyczysz w ulice zamknięte żalobnym wieńcem.
Śmierć! Tajemnica wydana! Mróz klujący! nie więcej!
I cicho. Śmierć na Litwie nocni obwojują ptacy.
Dziś już nie ruszysz się z domu. Jutro nie pójdziesz
do pracy.

Ach! wiem, że palce złamałaś u chudej omdlełej ręki
i śmierć na strychu i w mrozie pachnie ojczyzną chojną.

Zamieńcie dnie swego żywota na noce pełne udręki
i pijcie tę krew i życie krwią niezmienną w wino!

DZIEWANNA LIPKOWA

NIEŚMIERTELNOŚĆ

Stratują mnie parowozowy
rozszarpią lokomobile —
pod auto głowę położę
w duszącym benzyną pyłe.

Lecz nigdy, nigdy nie umrę:
popłyną krwią w żyłach maszyn,
elektro-wentylatory
puszczą w szumiący pęd straszny.

Nie umrę, nie umrę wcale,
bo wsiąknę w ruch świata wieczny
pociskiem będę, co wali
cudowną wodą, co leczy.

Błękitną zabłysnę banderą
rozśmianą chorągwią zieloną
i rac wyrzucić rajery
plonące w niebie czerwono.

I spadnę niebieską manną
promieni iks i ygrekowi
na ziemię żarłoczną i czarną
na świat, co zbawienia czeka.

następczącego okazję do wprowadzenia momentów społeczno ideowych.

„Pustka straszliwa“, „Księżycowe nocki“, „tkwiące w ranach noże“ itp. rekwiizyty zostały już dosyć wyświechtane jeszcze za czasów młodopolskich i nie zdoła ich ożywić i nadać barw aktualności nawet reklama, iż są poruszane przez „samą Konopacką“. Podobnie ma się rzecz ze skamandrycko-tuwimowem obrabianiem „słów najprostszych“, „rymów najprostszych“ itp.

Jeśli zaś idzie o walory formalne wierszy p. Konopackiej, to przedstawiają się one raczej źle, niż dobrze. Znać pewne wyrobienie, znać duże czytanie, zwłaszcza w zakresie 40 kilku numerów Skamandra, ale pomimo to znać także duże nieudolności, nieporadności i niedociągnięcia w formie. Np. takie zwroty:

Te wargi, ledwie zgięte błaganiem nieśmia-
łem,

Wzrok tamten, z pod rzęs lśniący, jak niebo
przez burzę.

(Mężczyzna).

albo:

Zapomnę dzisiaj i jutro

I troski moje mizerne.

(Pies).

A podobnych kwiatków jest więcej. Dalej, rymy dobrane nadzwyczaj konserwatywnie są czerpane z epoki jeszcze romantycznej i przeważają w rodzaju: róż-burze, losem-ciosem, słońce-lące itp. Wiersze p. Konopackiej cechuje skąpstwo obrazów poetyckich, ubogość i tak mało przekonujących porównań. Nie można się zgodzić, np. na celowość wyrażenia „chłodnawe kolana jabłka“ — (Mężczyzna), gdyż jest ono zaczerpnięte z anatomii i spełnia rolę nie zamierzonego okreśnika artystycznego, lecz czysto anatomicznego. Podobnie można by mówić, dajmy na to, o „płaskiej łopacie pleców“ czy „wąskim mostku piersi“.

Oczywiście, krytyk nie może wydawać kategorycznego wyroku. Z osobistego jednak wrażenia — gdyż rzeczy te ujmuję się przedewszystkiem emocjonalnie — uważam, że wiersze p. Konopackiej nie dają pola prawdziwym wzruszeniom estetycznym, jako posiadające b. znikomy zasób sugestii poetyckiej, jeśli wogóle da się ona tam odnaleźć. Nawet najlepsze w tomiku wiersze (Ogrody w stolicy, Wieś, Skrzypce), nie pozostawiają głębszego wrażenia. Dlatego też jako odpowiedź na retoryczne pytanie autorki „jak wrócić?“ (Podróże), radzimy jej szczerze: nie wracać do poezji wcale, gdyż, jak dotąd — „wszystko było deremne“. Gdyby zaś p. Konopacka zdobyła się i na tem polu na zawziętość równą tej, jaką wkłada do zawodów lekkoatletycznych, to niech wróci w każdym razie zupełnie zmienioną, po na-
leżym pogłębieniu się poetyckiem — choć wiemy, iż trudniejsze jest ono do wypracowania niż trening w rzucie oburącz.

Jerzy Jodłowski.

OD REDAKCJI.

— Następny numer „Głosu Literackiego“, zamykający pierwszy rok istnienia pisma, ukaże się w zwiększonej objętości i zawierać będzie m. in. obszerny artykuł Tadeusza Peipera p. t. „Sztuka i proletarij“, opinię Mieczysława Brauna o „Idei społecznej w poezji“, szkic Jerzego Jodłowskiego

KSIĄŻKA —
JEDNA Z WIELU

Pierwszym obowiązkiem krytyka jest obiektywizm. W zastraszający sposób szerząca się u nas ostatnio niepoważna krytyka, w wielkiej mierze oparta na sympatii, albo też antypatii do danego autora, i jakże często wprost wypływająca z lenistwa duchowego krytyka — jest smutnym objawem i wpływem gwałtownego obniżania się poziomu moralności naszej krytyki.

Mamy przed sobą książeczkę p. Tadeusza Żeromskiego *) (szkoda, że nie pisze pod pseudonimem, — la noblesse oblige). Książeczka to bardzo uboga, ale ponieważ tkwi w niej jak — przypuszczamy — pewien procent talentu — piszemy o niej.

A. — Strona treściowa: Przedstawia się bardzo nieszczerze. Sfera zainteresowań i natchnień p. Tadeusza Żeromskiego jest bardzo ograniczona, i zamyka się w ramach par excellence — konwencjonalnych.

Dobrze: przyroda — wiatr, chmury, słońce; dobrze: miłość, ciało, życie, śmierć; — tematy wieczne, o których zawsze szczerzy poeci pisali, i o których zawsze — wierzymy w to — pisać będą. Ale przecież każda epoka tak jak ma swoich ludzi, swoje idee: pragnienia i bunty, czyli materię jej właściwą — ma i swoją formę; naturalnem więc jest chyba, by w epoce dnia dzisiejszego — pisano wreszcie po dzisiejszemu! A prztem ileż nowych horyzontów, które obejmujemy, i które dopiero my obejmujemy, otworzyło się szeroko przed wiekiem XX.

B. Strona formalna: Wpływy świetnej i bezpowrotnie minionej epoki młodopolskiej (Staff). Współczesności prawie, że nie spostrzegamy. Z techniką wiersza daje sobie autor radę bardzo dobrze; nie umie jednak umiarkowanie władać rymem męskim.

W konkluzji: piszemy o tej książeczce dla ostrzeżenia autora. P. Tadeusz Żeromski przez jakieś kilka lat nie powinien drukować; na to zawsze, jeśli jest talent, i rozwija się należyte — jest czas. „Pożar“ został wydany o — minimum — 5 lat za wcześnie (a o 20 zapóźno) i rezultat tego: kilka poetyckich, ładnych obrazów, świadczących o możliwości istnienia talentu, i 70 zadrukowanych stron tak cennego, w dzisiejszych czasach, papieru. Czyż opłaciło się autorowi wydawać tę książeczkę?

M. D.

*) Tadeusz Żeromski. Pożar. Skład Główny: Gebethner i Wolff. Warszawa 1928.

POEZJA REKLAMOWA

Halina Konopacka. — „Któregoś dnia“. Poezje. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1929.

Któregoś dnia p. Konopacka zdobyła laur olimpijski; któregoś innego dnia p. Konopacka sięgnęła po laury poetyckie. Jednakże oddzielała ją od nich odległość większa niż 39 m. 62 cm. i osiągnięcie ich okazało się nieco trudniejsze niż zdobyć tytułu mistrzyni świata w rzucie dyskiem. P. Konopacka wydanym tomikiem pokazała nam, iż daleko bardziej jej do twarzy z wawrzynami na słonecznym stadionie olimpijskim, niż z wątpliwą wartością wawrzynami w cieniście gaju Akademosa. Dysk okazał się w jej rękach stanowczo lepiej opanowaną i pewniejszą bronią niż pióro.

Zbiorek poezji p. Konopackiej nie należy jeszcze do rzędu książek najgorszych. Tomik jej reprezentuje wiersze t. zw. „poprawne“ (choć z dużymi zastrzeżeniami). Tem gorzej. Najgorszą plagą naszej twórczości poetyckiej są właśnie wiersze poprawne. Książki najgorsze różne, wypoccone „poezje“ p. Stomrskich i Łęczyckich (Nr. 10 i 18 Gł. Lit.), mają tę zaletę, że wywołują zawsze prawidłowe ustosunkowanie się do ich wartości. Rzeczy te stoją poza poezją i po przeczytaniu takiego „Rytmu tętnic“ Łęczyckiego czy „Kolorowej sonaty“ Herm-Pirgo, wiadomo od razu jak je traktować. Gorzej za to, gdy przyjdzie wziąć do ręki tomik przeciętnych, najprzeciętniejszych wierszy, które nie wywołują wprawdzie po przeczytaniu wrażenia humorystycznego, ale które też nie dają w gruncie rzeczy nic głębszego, nic pozytywnego. Utwory takie, to balast ciężący na istotnie reprezentującej coś twórczości poetyckiej i jako deprecjonujące jej poziom ogólny, powinny być wypełniane energiczniej niż nieszkodliwa zabawa rasowych grafomaniątek.

Właśnie tomik p. Konopackiej należy do książek nie reprezentujących nic i nie wnoszących żadnych nowych, oryginalnych wartości, oczywiście poza dobrą reklamą dla wydawcy. P. Konopacka operuje wartościami już osiągniętymi i to operuje w sposób nieopanowany. „Któregoś dnia“ jest to wytwór t. zw. — pożałujcie Boże — epigonizmu poskamandryckiego. P. Konopacka maszeruje — i ze swego marszu nie zbacza — w liczej, niestety, rzeszy „epigonów“ wyschłego do dna Skamandra, i trzeba dodać — w rzeszy tej nie wybiła się do pierwszych szeregów. Nie chodzi tu nawet o to, że w wierszach p. Konopackiej pełno jest Tuwima, Wierzyńskiego, lub nawet Lechoń (Srebrne i czarne). „Któregoś dnia“ jest objawem skamandrycznego przedewszystkiem pod względem ideowym — znaczy więc to, że pod tym względem wogóle nie istnieje. Cóż z tego, że autorka uprawia „Tańce wśród rymów“ — dziś zdaje się przestały być one frapujące i od poetów żądamy, by zamiast poetyckiego przelewania z pustego w próżne zaczęli wypracowywać twórczą postawę ideową. Nie idę tu nawet tak daleko, by mówić specjalnie o postulatcie tendencji społecznej, narzucać poetom programy i w rezultacie narażać się, broń Boże, na zarzut nakładania im „stryczka na szyję...“ Ale przecież tak, czy inaczej poezja nie może opierać się tylko na wartościach formalnych i musi dbać o należyte rozwinięcie elementu ideowego. Mówi się, że temat nie może być poecie prawdziwy. Zgoda. Ale przecież chyba każdy prawdziwy poeta napotka na swej drodze twórczej tematy o ogólniejszym społecznym znaczeniu. Tymczasem p. Konopacka obrabia ciągle na starą nutę „Podróże“, „Powroty“, „Pożegnania“ i dostrzegając materiał do przeżyć artystycznych w „Skrzypcach“, czy nawet zgoda w „Psie“, nie zwraca się do ani jednego tematu

chłodnego żywiołu, czy też jestem południa pargowego powiewem, który jest w powietrzu i którego niema, który płynie nad łąką ciężarną złotym pszenicznym chlebem, nad ciszą uli i skwarą przekwitem kwiecia lipowego.

Sen bez kształtu i uczucia, dobywający i topiący na płynny kruszec naszą, moją i twoją, duszę, która nieżywa i bezwładna, leżała zamknięta w sobie, jak poczwarka owadu, czekając wybawienia i nowej treści.

A potem fala obca i mroźna przenika przezroczystą tkankę naszego istnienia, przebiega nas ostrą bolesną igłą, daje nam nagle obce oblicze, obce usta i oczy.

Jak opar, zamknięty w szklanej retorcie, nagle dotykając zimnej powierzchni lśniącego zwierciadła, skrapla się w okrągłą lśniącą lżę cieczy, tak dusza, przewiana chłodnym oddechem obcego żywiołu marznie i ścina się w nowy kształt i zawisa jak czarna i błyszcząca perła boraksu.

Ignacy Karpiel ułożył się do snu, gdy zegar na dalekiej wieży katedry wybił godzinę dziwną. Ciężkie, tępe i ogłuchłe krople uderzeń wsiąkały w siną i wilgotną mgłę późnego wieczoru.

W skroniach huczał ból, kłębił się w palącą kulę gorączki, drgał nerwowo w mięśniach barrek, gniótł i parzył w wyschłych od znużenia orbitach.

Był jeszcze na podniebieniu przeciągły i mdły zapach żółtej i piaszczystej ziemi ementalnej, w uszach nużący, monotony klekot minionych pacierzy; czerń zmiętej papierowej krepy, zaschłe twarze sąsiadek i dogorywający migot lojowej świeczki.

Właściwie nigdy nie kochał Marji, choć był dobrym mężem, przykłądnym mężem. Cały dzień harował, jak wół w kieracie żmudnego zawdu.

A teraz, gdy wrócił do domu, uczył brak. Zimny grzyb pustki wyrastał na ścianach opuszczonej izby...

...kiedy przyjdzie sen?

ARTUR LAUTERBACH

SEN
LISTONOSZA

Jest sen, który przychodzi z zewnątrz, sen bezwładny i ciężki, jak kaptur narkozy chloroformowej. Mózg coraz głębiej zapada w szarą watę znieczulenia, zsuwa się powoli i nieustannie coraz dalej w ciężkie, jak olów i grzaskie, jak czarna maź, bagno mroku.

Sen, który rozluźnia członki w śmiertelnej bezsilie, gdy ostatnie i dalekie ślady woli i świadomości tonięją i nikną, jak kawał tłuszczu, rzucony na gorące żelazo.

Jest wówczas sen płynący przez grotę i nuryt uczucia leniwo, jak karp, sen bez konturów i kształtów, zalewający mózg białym tranem drżącego światła i przeźroczystej, jak opal, ciemności. Jest wówczas sen ciekły, jak oliwa, mleko i miód, sen który zasnawa wypukle i niebieskawe, jak porcelana, gałki oczu, sen który jest twardy, jak łarcza klepana z surowego żelaza i który trwa dłużej, niż życie.

Ów sen zamyka mnie i ciebie zwolna i stopniowo w sobie, zamyka nas odosobnia, jak ziarno rzecha w krągłej i twardej łupinie. Zrywa nas, jak jabłko z drzewa, które wrosło głęboko korzeniami w czarną glebę dni. Odrzywa nas od ziemi i zasklepia w sobie, w samotną okrągłość i dalekość i bolesną pustkę sieroctwa.

A potem, fala ciepła i litosna, jak ręka matczyzna bierze nas, by nas roztopić i przetopić, by zamknąć w harmonii i pustce swych ścian, kryształ, uwolnić i wybaczyć z samotności doskonałego kształtu.

Potem już nie wiem czem jestem; pluskiem i okrągłą falą, która wypływa z pod wiosła na gładką powierzchnię wody, rozlewa się, rośnie i rozbija i wraca do spokojnego macierzyństwa

Ciemność gęstnieje w pustych dziuplach kątów, wlece się po stancji, dotyka palcami sprzętów i porzuconej odzieży.

Żółte plamy i kule, pomarańczowe i zielone platy latają po powietrzu, migają i dłużą się, jak glisty, zalewając jak kropel wodnej farby prysnięte na mokrą bibułę.

Codziem wstępował na setki piatr, deptał kamienne i drewniane stopnie, szczeble; czuł oślizgłość startych poręczy w spocnej dłoni, piał się coraz wyżej po krętych, jak skorupa ślimaka, kłatkach schodowych, naciskał mosiężne klamki u nieznanych drzwi; i znowu schody, kurytarze, sienie i piwnice, sutereny i biura, domy publiczne, szpitale i gospody; i znowu tysiące i tysiące stopni, drabin, schodów, wyciągów, tuneli i bram.

Zmierzył już wszystkie kondygnacje strzelistych wież, pnących się ku niebu, a jednak był wciąż dalej, wciąż odnowa umęczone nogi wiodły go tą samą, wyblakłą i beznadziejną drogą wiecznych powrotów.

Torba już jest prawie pusta, a jednak cięży jak olów; wciną się głęboko w kościste ramię czarny stłuszczoney rzemień.

Pozostał tylko jeszcze jeden list.

Biały list bez adresata —

schody schody

schody

schody

Jakiś starszyszek otwiera mu drzwi —

— Czy tutaj...

Poznał swego ojca, nieboszczyka.

— List? Tutaj nie odbiera się żadnych listów, tutaj jest fabryka noży...

Z głębi izby dochodzi go ggrzyt i świst ostrzonej stali.

Ojciec stoi bosy, w łataniej, brudnej koszuli.

— Nie, tu nie odbiera się listów.

Znowu są schody, skrzypiące i spróchniałe, minione schody długich uciążliwych lat.

Jest ich wciąż więcej, wciąż inne, dwoją i tróją się w oczach.

Złe schody. Zapadają się pod ciężkimi, jak olów, stopami, ześlizgują się i rozciągają się, jak miech harmonijki, wciąż wyżej, wciąż dalej.

A jednak nie rusza z miejsca, bezsilne depkanie i pięcie cię łamie w stawach kolan, wyrzywa z płuc ostatni, zziębnięty wysiłek.

— Tutaj jest list do oddania, list który musi dojść do rąk! Jestem listonoszem, wyczekiwanym, bezsenne czuwanie przy światających oknach, w trosce siwiącej, w trwodze i złudnej nadziei. Jestem listonoszem i przynoszę wieści od synów poległych z rozszarpanych szrapnelami okopów, od niewiernych kochanków, od giełd i więzień, przynoszę wam straszny, nieadresowany list od ślepców, od więźniów, od umarłych ludzi.

— Gdzie tu mieszka Marja Karpiel! Jest dla niej list, biały, skrawiony list od niewiernego kochanka; list wydeptany na milionach stopni, na czarnych nienawistnych schodach lat, na wyszlizgłych schodach, które łamią się pod stopami, które zsypują się, jak szutr, które donikąd nie wiodą.

I nagle schody stają się gładkie, jak rzemień balwierza, zrywają się z pod nóg, toczą się i wirują jak olbrzymi przetak mylnskich kół, jak chyże, szaleńcze koliska obrotowe nieznanym maszyn. Schody, strome czarne schody, pasy i taśmy pędzą ostrym, warczącym świstem w górę!

Ignacy odrzywa się od stopni, leci w dół; pod nim czarna, wyjąca, jak studnia, klaskająca hukem spadającego ciała, niezmierzona-przestrzeń głębi.

— List!!

Odbierzcie biały, skrawiony...

Nieruchome, umarłe sprzęty czuwają w mrocznych kątach. Na podłodze leży, biała jak płaski kawał blachy, kałuża księżycowej poświaty. Na ścianie, nad łóżkiem, stary zegar liczy monotonym, niezmorzonem skandem, mijający czas...

DWIE KSIĄŻKI O PARLAMENTARYZMIE

Jerzy Wójcicki: „Między faszyzmem a republiką rad”. Studium z dziedziny parlamentaryzmu. Skład Główny: Księg. Hoesicka. Warszawa 1929.

Studjum o wysokiej wartości syntetycznej. Autor podzielił sobie pracę na dwa zasadnicze rozdziały: Parlamentaryzm i Republika Rad oraz Faszyzm i System Polski. Omawiając genezę powstania parlamentaryzmu oraz ewolucję jego od pierwszej połowy XI wieku aż po dziś dzień — autor czyni to na podstawie poważnych źródeł naukowych z dziedziny zagadnień parlamentaryzmu oraz wykazuje dokonane już w tym kierunku przewroty i odchylenia w sensie rekonstrukcji systemu rządzenia państwem. Rzeczowa krytyka form ustrojów państwowych, zawarta w pierwszym rozdziale — skierowana przeciwko fikcji systemu reprezentacyjnego w jego obecnych postaciach parlamentarnych — jest odbiciem ścisłym i racjonalnym, zważywszy niepomiarowość ich wad w stosunku do postępujących wciąż wymogów społecznego życia. Przeprowadzona analiza i ograniczenie sposobów rządzenia państwem przez Rosję, Włochy i Polskę — wykazuje dobitnie jak ciężki kryzys przeżywa dotychczasowy system parlamentarny, odbiegający jeszcze wciąż daleko od ducha demokratyzmu, jakim przepojona jest dzisiejsza epoka. Próby reformy dokonane na tem polu we Włoszech i Rosji biegna poprzez syndykalizm i „bezpośredniość” wpływów sowieckich rad. Autor dostrzega tu niewątpliwą ingerencję systemu komunistycznego na bieg faszystowskiej rewolucji Mussoliniego. W rezultacie oba te systemy stwarzają nową fikcję w praktycznym ujęciu teorii o idealnej „reprezentacji narodowej”.

Wniosek, jaki wyciąga autor z dokonanych porównań na korzyść Polski, brzmi: „...u nas może być tylko system rządów parlamentarnych, zreformowany w duchu indywidualnych potrzeb kraju i narodu”. System ten miałby być wskrzeszeniem ustroju parlamentarnego Polski z czasów Zygmunta Starego, jako „doskonały i odpowiadający pod każdym względem potrzebom państwa”.

Studjum p. Jerzego Wójcickiego ukazuje się w dobie najbardziej aktualnej i dlatego książka jego zwróci niewątpliwie uwagę czytelników mniadajnych.

Er.

Dr. Hans Kelsen: „Zagadnienie parlamentaryzmu”. Przełożył z upoważnienia autora Artur Miller. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1929.

Zagadnienie parlamentaryzmu wysunęło się dzisiaj na czoło problemów polityczno - społecznych i kwestja ustosunkowania się do systemu rządów parlamentarnych, wskutek przełomów i wstrząsów politycznych, jakie miały miejsce w wielu państwach europejskich, stała dziś na porządku dziennym w całej rozciągłości. Mówi się coraz częściej o kryzysie, o bankructwie, czy nawet o zupełnym przeżyciu się i agonii parlamentaryzmu. Odrzucając to bezwzględne i apodyktyczne jego przekreślenie, trzeba w każdym razie przyznać, że parlamentaryzm stanął dziś do pewnego stopnia pod znakiem zapytania i system, jaki reprezentuje wszedł w obręb poczyniań rewizjonistycznych. Gruntowna analiza i krytyka parlamentaryzmu znalazła miejsce nie tylko w pracach zawodowych polityków, ale także coraz częściej zdobywa sobie prawo obywatelstwa w pracach ludzi nauki, którzy abstrahując od aktualnych, programowych haseł, podchodzą do samego zagadnienia z zimną, obiektywną metodą naukową, historyczno-prawną. Jednym z najbardziej godnych uwagi głosów nauki na temat systemu parlamentarnego, jest wydane świeżo w polskim przekładzie studjum profesora Uniwersytetu wiedeńskiego, dr. Kelsena.

Prof. Kelsen odrzucając twierdzenie o bankructwie parlamentaryzmu i wiążąc jego egzystencję i prawidłowe funkcjonowanie z istnieniem nowoczesnej demokracji, zastanawia się szczegółowo nad zarzutami stawianymi temu systemowi

rządów i możliwościami naprawy instytucji parlamentu, którą określa jako „kompromis między demokratycznym postulatem wolności a zasadą różniczkującego podziału pracy, która jest warunkiem wszelkiego postępu socjalno - technicznego”. Z tego punktu stara się autor „wytknąć drogi, któremi potoczyć się winna możliwa reforma parlamentaryzmu”. Kolejnej i szczegółowej rozprawie ulegają wszystkie argumenty, najczęściej wytyczane przeciw systemowi rządów parlamentarnych. Prof. Kelsen omawiając i skutecznie odpierając te argumenty wysnuwa jednocześnie konkretne wnioski o naprawie samego systemu.

Szczegółowsze omówienie znajduje koncepcja organizacji korporacyjno - zawodowej, coraz bardziej wskazywana jako mająca zastąpić instytucję parlamentu. Prof. Kelsen wykazując wszystkie „niezwykle, częściowo nawet nierozwiązywalne trudności”, na jakie natrafiliby i urzęcywistnienie tej budzącej poważne zastrzeżenia idei, dochodzi do wniosku, że „ustrój parlamentarno - demokratyczny ze swą zasadą większości i mniejszości, ustanawiającą zasadnicze dwuczłonowe ugrupowanie, jest rzeczywistym wyrazem dzisiejszego społeczeństwa, zdecydowanie podzielonego na dwie klasy. Jeżeli wogóle istnieje forma, umożliwiająca wyrównanie tego, być może pożałowania godnego, niemniej jednak bezsprzecznego rozłamu, na drodze pokojowego i stopniowego rozwoju, to formą tą jest demokracja parlamentarna”.

Studjum prof. Kelsena, będące produktem wiedzy naukowej i operujące szerokim, obiektywnym aparatem krytycznym, jest cennym argumentem dla obrony idei parlamentaryzmu i w dalszej konsekwencji — obrony demokracji.

joł.

ŚMIECH PODMIOTOWY

Kornel Makuszyński: „Wycinanki”. Wydanie trzecie. Nakład Gebethnera i Wolffa.

„Ludzie bez radości, są jak bez chleba i wody”, str. 74.

Wyprowadzone z Młodej Polski, i jeszcze mimo wszystko młodopolskie ujmowanie zagadnień plus niektóre akcesoria nowoczesne, oto styl Makuszyńskiego. Lecz styl ten, powiedzmy, nie zanadto poetki, wabi ku autorowi przedewszystkiem podmiotem zastosowaniem. Makuszyński, w kręgu swej zaścianowości psychicznej, przebijając otwory na wielki świat. I śmieje się: pod wpływem własnych wewnętrznych impulsów, nie zmusza zaś do śmiania się z czego: Takie pojmanie śmiechu jest o tyle wartościowem i pożytecznem, iż rodzi śmiech, nie zaś wyławia i sztucznie pobudza.

Owe trzydzieści i jeden humorystycznych feljetonów, zebranych w książkę, ukazuje śmiech pożywny, społecznie pożyteczny. „Ja pół życia stawiłem na to, aby dać odrobinę śmiechu ludzom zmęczonym i pracującym”. (Str. 73). I z tego właśnie powodu autor „Wycinanek” ciągle i nieprzerwanie zasługuje się społeczeństwu za tę samarytańską iście pomoc radości dla zgębnionych, głodnych bezbuciarzy.

Makuszyński, jako pisarz, jest ciekawym zjawiskiem. „Obrabia” śmiech. I to nie tak naukowo, poważnie, analitycznie, jak B. Winawer, dlatego też na drodze odgrywekowej, na drodze postępu, Makuszyński, tworzący dla snobistycznych kobiet i dla sprostych, niemrawych mieszcuchów — nie wywalcza nic. *Twór jego jest powtarzaniem jednego wiecznie tematu, w innej cokolwiek interpretacji lokalnej.* Ważnem jest tutaj: „Trzeba wesoło przeżywać niewesołe życie” (str. 311).

W. Czereśniewski.

KORESPONDENCJA

— St. Pom. — Lwów. — Nadesłane wiersze znamionują niewątpliwie talent. Jednak jeszcze nie do druku. Prosimy o dalsze prace.

— I. Przys. — Łódź. — Z nadesłanych nie

KINO

W dziesięcio-letnią rocznicę odzyskania niepodległości wystawiono w kinach Filharmonja i Wodewil „Pana Tadeusza” krajowej wytwórni Star-film w realizacji Ryszarda Ordyńskiego.

Po tylu nieudanych polskich obrazach mieliśmy wszyscy obawę, co do możliwości sfilmowania naszej epopei narodowej, bez narażenia jej na te wszystkie wady, jakie w polskich obrazach mieliśmy. Baliśmy się, aby drogiego naszemu sercu dzieła nie sparodjowano. Dziś, po premierze, możemy stwierdzić, że jednak to się nie stało. Reżyser Ordyński potrafił doskonale pogodzić poezję z ekranem. Wziął tylko to z Pana Tadeusza pisanego, co było do sfilmowania t. j. ruch, zdarzenia, wypadki, resztę pozostawił nienaruszonem. Stworzył kinową ilustrację Pana Tadeusza. Po między wiernie przedstawiony przebieg akcji umiennie wstawił słowa, stwarzając prawdziwie artystyczną całość.

Obsada ról dobrana nadzwyczaj starannie, polski świat filmowy starał się dać w tym obrazie wszystko, co miał najlepsze. Trudno omówić szczegółowo wszystkie kreacje, lecz od razu na czoło artystów, zdaniem mojem wysuwa się świetna wprost gra Szymańskiego (Robak). Dobry są Jednowski (Gerwazy), Owerło (Podkomorzy), Łuszczewski (Tadeusz), a zwłaszcza Bednarczyk (Maciek nad Maćkami). Role kobiece słabsze. Są w obrazie i pewne mankamenty, do których zaliczyć można, krótkość retrospektywu, niezbyt do brze udale polowanie (niedźwiedź) no i pewna teatralność, jaka cechuje niektóre sceny.

Gasiński.

NOWE KSIĄŻKI

Lucieto. „Oddane wrogowi”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa 1929.

Antoni Marczyński. „Niewolnice z Long Island”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa 1929.

Gorkij. „Foma Gordiejew”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa 1928. Wielka powieść — którą zaliczyć należy do najtypowszych dzieł wielkiego pisarza.

M. B. Lepecki. „Na podbój Amazonki”. Biblioteczka Historyczno - Geograficzna Nr. 108. Cykl: „Polacy na szlakach świata”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa 1928.

Stanisław Łoza i Stanisław Bieńkowski. „Ordery i Odznaczenia”. Nakł. Gł. Księg. Wojsk. Warszawa 1928.

Juliusz Kaden - Bandrowski. „Na progu”. Urywki ze wspomnień wojennych. Nakł. Głównej Księg. Wojsk. Warszawa 1928.

Stanisław Adamczewski. „Oblicze poetyczne Bartłomieja Zimorowicza”. Wydawnictwo Kasy Imienia Mianowskiego. Warszawa 1928.

Jan Kucharzewski. „Od białego caratu do czerwonego”. Tom III. Lata przełomu Romanow Pugaczew czy Pestel. Wydawnictwo Kasy Imienia Mianowskiego. Warszawa 1928.

Jakób Wassermann. „Rut”. Powieść. Z cyklu: „Człowiek złudzeń”, powieść trzecia. Przełożył F. Mirandola. Nakł. Instytutu Wyd. „Renaissance”. Andrzej Baillou. „Zabita przez życie”. Dzieje pewnej Marji. Powieść. Przełożyła A. Czarska. Nakł. Instytutu Wyd. „Renaissance”.

Jan Bojer. „Wielki głód”. Powieść. Przełożył L. Staff. Nakł. Instytutu Wyd. „Renaissance”.

Edgar Wallace. „Władca dusz”. Powieść. Przełożyła Marja Kreczowska. Nakł. Instytutu Wyd. „Renaissance”.

skorzystamy. Radzimy dużo czytać w zakresie nowoczesnej poezji.

— Hel. Potul. — Warszawa. — W „Stalowym szczęściu” nie grzeszy forma. Myśl niewątpliwie wielka. Jest to piękny aforyzm — ale nie wiersz.

— Józ. Szp. — Warszawa. — Będziemy drukowali.

NA MARGINESIE

— Konkurs na nagrodę literacką wydawnictwa „Renaissance”.

Wydawnictwo „Renaissance” postanowiło przez rozpisanie konkursu i wyznaczenie 2 nagród literackich za dwa najlepsze utwory powieściowe, uczcić godnie 10-tą rocznicę Zmarłychwstania Polski.

Pierwsza nagroda, wynosząca 30.000 zł., wyznaczona zostaje za najlepszą powieść o Polsce współczesnej, napisaną przez pisarza polskiego. Powieść ta ma być epopeją odrodzonego Państwa, odzwierciedlającą najważniejsze wydarzenia i prądy polityczne i kulturalne, pomnikiem Polski współczesnej, źródłem wiedzy o Niej, źródłem zapamiętania dla przyszłych pokoleń, obrazem dążeń, walk i zmagania się wszystkich tych, którzy bez względu na swój obóz polityczny — przyczynili się ofiarą życia i sił, przyczynili się nadludzkimi wysiłkami, jawnym i ukrytym bohaterstwem, wytrwałą pracą wielu dziesiątek lat od odzyskania wolności i niepodległości Ojczyzny.

Druga nagroda w wysokości 5.000 zł. wyznaczona zostaje za najlepszą powieść jakiegokolwiek treści, napisaną przez autora polskiego, który dotychczas nie ogłosił jeszcze żadnej powieści, ani żadnej nie drukującej.

Objętość każdej powieści może się wahać w granicach od 250 do 1000 stron druku. Powieści nagrodzone zostaną wydane w Wydawnictwie „Renaissance”, które zastrzeżenie sobie prawo nabycia i wydania także prac nienagrodzonych. Termin zgłaszania ubiegających się wyznacza się od 30 stycz. 1929 r., termin zaś nadesłania manuskryptów najdalej do 15 grudnia 1929. Bliższych informacji udziela: Instytut Wydawniczy „Renaissance” Stanisławów, Romanowskiego 3.

— W przekładzie niemieckim ukazały się dwie powieści Wacława Sieroszewskiego: „Dalaj-Lama” (nakład Hesse i Becker w Lipsku) oraz „Djabel z za morza” (przekład Amdurskiego — Schuberta p. t. „Die Teufel von Jenseits”).

— Włoskie pismo „La Stampa” wychodzące w Turynie zamieściło nowelę Stefana Grabińskiego „Błędny pociąg” („Il treno fantasma”) z cyklu „Demon ruchu”. Przekład dokonał prof. dr. Enrico Damiani. Podobnie w czasopiśmie rzymskim „Tutto” („Wszystko”) z dnia 7.X b. r. pojawiło się tłumaczenie noweli Stefana Grabińskiego „Wezwanie” („Il richiamo”) z cyklu „Szalony pątnik” (Kraków, 1920). Przekładu dokonała Stefania Kalinowska.

— W Nr. 174 dziennika włoskiego „La Stampa” ukazała się nowela Jana Wiktora: „Sąsiedzi” — p. t. „Vicini” w tłum. Enrica Damiani. Ten sam tłumacz zamieścił w jednym z pism scylij-skich drugą nowelę Wiktora p. t. „Wiewiórka”.

— Ferdynand Goetel, prezes P. E. N. - klubu w Warszawie oraz Artur Górski, otrzymali krzyże komandorskie orderu Odrodzenia Polski.

— P. premier Bartel przyjął dn. 20.XI delegację literatów w osobach pp. Leopolda Staffa, Kazim. Wierzyńskiego i Ferdynanda Goetla. Delegacja przedstawiła p. premierowi postulaty w sprawie domu literatów.

— Dn. 20.XI odbyła się w teatrze Narodowym w Pradze Czeskiej premiera „Halki” Moniuszki, pod kierownictwem dyrektora Miynarskiego, odnosząc niezwykle sukces.

— Grupa artystów z Teatru Małego we Lwowie z p. Fertnerem i Dęboliczem występowała na Kresach Wschodnich (w Łucku), grając z powodzeniem „Potas i Perlmutter”. Obecnie cieszą się wielkim powodzeniem i znaczną frekwencją występy artystów p. Malickiej i p. Węgierki w komedji Kiedrzyńskiego „Powrót do grzechu”, p. Józef Dębolicz w roli Łukasza — jest znakomicie scharakteryzowany. Mimo wielkiej frekwencji komedja ta zejdzie z repertuaru, nastąpi premiera znakomitej sztuki Zapolskiej „Carewicz”, w pierwszorzędnej reprezentacji artystycznej z p. Malicką, Węgierką, dyr. Czarnowskim, J. Dęboliczem, Berskim etc. Sztuka z nowymi kostjumami będzie znaczną atrakcją dla publiczności.

DOM HANDLOWY CENY PRZYSTĘPNE
G. STOŁOWICKI
WARSZAWA, KRAK. PRZEDM. 67,
TELEFON 72-51
UBIORY GOTOWE, MANUFATURA
OBUWIE, GALANTERJA,
KONFEKCJA DAMSKA I MĘSKA
NA ROZPŁATY TERMINOWE
BEZ ZALICZKI

JAN ZEGRZE
: SZWAJCARSKIE :
: ZEGARKI :
: BIŻUTERJE :
: SREBRO :
: I PLATERY :
NA DOGODNYCH WARUNKACH
WARSZAWA: N. ŚWIAT 30:

NA RATY I ZA GOTÓWKĘ
UBIORY I OBUWIE
męskie — damskie — dziecięce
H. KEJLIN
WARSZAWA
ELEKTORALNA Nr. 7
TELEFON 99-94
FIRMA EGZYSTUJE OD 1872

NA RATY I ZA GOTÓWKĘ
NAJMODNIEJSZA
KONFEKCJA DAMSKA
MICHALINA
PALTA: TRYKOTARZE
SUKNIE: SZLAFROKI
BLUZI: BIELIZNA
ELEKTORALNA № 7 TELEF. 189-78
FIRMA EGZYSTUJE od 1905 r.

WARUNKI PRENUMERATY: Z przesyłką — w kraju miesięcznie 150 zł., kwartalnie 450 zł., zagranicą kwartalnie 1 dolar.
OGŁOSZENIA: 1 mm. szerokości 1 szpalty (1am 4 szpaltowy) 40 gr. za tekstem, w tekście 50% drożej.
REDAKTOR I WYDAWCA — JÓZEF PODHALICZ.

Zakłady Graficzne Pracowników Drukarskich, Nowy-Świat 54. Tel.: 15-56, 242-40.

Adres redakcji: ul. Młynarska 43 II p
Adres administracji: ul. Sienna 20 m. 5
Tel. 204-96. Konto czek. P. K. O. 16380.